



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Aczkolwiek w ciepłym ubraniu, kulilem się nieco od zimna.

Dla rozgrzania zziębniętych członków marsowym szedłem krokiem, obie ręce włożywszy w kieszenie paltota. Na zakręcie ulicy spotkał mnie pan Honory.

Któż nie zna pana Honorego?

Skrzywiony zawsze, wdychający, z przymglonemi oczyma a noskiem kroguleczym—(nie mówię *nosem*, bo miniaturowy kształt jego na to nie pozwala)—z błyszczącą łysiną po środku głowy a twarzą wygoloną, robiącą zawsze na mnie wrażenie wyschniętego pomidora.

— No cóż, kochanecku? — rzekł, wysuwając z pod długiej peleryny swojego paltota cienkie, suche i zimne palce.

— Oszukaliśmy się—odpowiedziałem, zacierając ręce...

Pan Honory poruszył głową.

— Głupi się tylko oszukują, kochanecku—ja zawsze mówiłem, że niczego się spodziewać nie można.

— Czy było kiedy inaczej?

— Właśnie, że nie było i dla tego nigdy nie widziałeś nie ty, drugi i dziesiąty, co leży pod nosem. Ale to już taka natura wasza, nie dziwić się jej, ale poprawić potrzeba, kochanecku. Kiedyż nakoniec przestaniemy się oszukiwać?

— Przepraszam pana, panie Honory, ale zdaje mi się, że my niezupełnie się rozumiemy.

— My się nigdy nie zrozumiemy, kochanecku.

— Czy panu jest ciepło, choćby nawet w tym paltocie z peleryną?

— O czem ty mówisz, kochanecku?

— Niezwodziła nas dotąd jesień, babie lato nie oszukało nigdy, przypominało nam zawsze minione, piękne dni wiosenne; puchy kwiatów unosiły się w powietrzu, płątały się w owe sieci srebrne zwane przedziwem Matki Boskiej, osnuwały pola całe, były uciechą dzieci a nam, którzy już sporo lat przeżyli na tym bożym świecie, przypomnieniem chwili niejednej, dawnych, złotych, młodzieńczych marzeń. Tym czasem spojrz pan na niebo. Zamiast rozjaśnionych błękitów—jednostajne a płowe chmury okrywają widnokrąg cały; zamiast przędzy srebrzystej, pędzonej wiatru ciepłego oddechem—codziennie niemal widzimy smugi deszczowe. Zimno, deszcz, mgła i to ma być ta osławiona jesień nasza?

— To ty, o babiem lecie mówisz, kochanecku?...

— Tak panie Honory, o niem mówię, o tej najpiękniejszej chwili jesieni, która nie zawodziła nas nigdy, którą—ja przynajmniej—oczekiwałem z utęsknieniem zawsze.

— To ty o babiem lecie mówisz!—powtórzył pan Honory.

Zażył tabaczki i poszedł na gazetę do cukierni Nowickiego.

O czem myślał pan Honory, Bóg jeden raczył wiedzieć. Ale ktoby zważał na pana Honorego, który, jako stary mentyka, znany był wszystkim prawie—i w każdym, byleby odrobinę był młodszy od niego, chciał widzieć Telemaka, któremu Fenelon za towarzysza Mentora dodał.

Pan Honory widocznie był zdania, że słowa jego muszą być wysłuchane, bo nagabani przez niego ludziska słuchali go cierpliwie, niesprzeciwiali się w niczem, potakiwali nawet, a w duchu śmieli się ze starego dziwaka.

A możnaż się było nie śmiać?...

Gadaj mu o babiem-lecie a on ci powiada:

— Nie spodziewaj się, kochanecku, niczego.

Innym mówił: trzymajcie się! innym: nie dajcie się! byli nawet i tacy, których z całą powagą zapewnił, że na wierzbie gruszki nie rosną. Prawda, że znajdowali się naiwni, wierzący w podobny wybryk natury i, zamiast płonkę grusową na właściwym pniu sadzić, sadzili na tem drzewku gorzkim i czekali słodkiego owocu.

Ale co panu Honoremu do tego?

Ja sam mu nawet, delikatnie tę uwagę zrobiłem.

I cóż?

Odpowiedział mi, że dla tego dotąd widzi w ogrodach same tylko gruszki na wierzbie. Wspomniał mi nawet i o pieczonych gołąbkach, ale że instynkty gastronomiczne mam mało rozwinięte, w tej materii nie podtrzymywałem już z nim rozmowy.

I kto go zrozumie? A jednak takowi dziwacy chodzą po świecie i nawet za porządnym ludzi są są czasem uważani.

Mniejsza o to, że mu się „Sprzedana Narzeczona” Smetany nie podobała, ale nawet melodramat w jedenastu odsłonach, ów „Tułacz wieczny” Sue’go uscenizowany—wydał mu się sztuką nudną, nie mającą sensu, obrażającą wprost ściany teatru wielkiego.

Dekoracje jednak podobały mu się.

Chwała Bogu, że cośkolwiek mu się podobało.

Ale ba! Zaraz dodał:

— Widziałem, kochanecku, w przesłicznym stroju, przewiedła, jakająca się, sześćdziesięcioletnią babę. Niewiasta ta w młodości swojej była bardzo interesującą osobą, ale dziś szkolnych żaków chyba zająć potrafi.

Nic a nic nie rozumiem pana Honorego...

Ja dumny byłem, że nasz teatr zdobył się na odsłon jedenaste, a jemu się roi w strętny garb Ryszarda i temu podobne—niekształtności...

Hal de gustibus...

Ale my mamy lepszy gust od pana Honorego—skromnie mówiąc.

Razu pewnego gawędziłem z nim o upiększającej się wciąż Warszawie. Ja, oczywiście, chwaliłem wszystko, on zaś wszystko ganił.

Uosobienie przeciwieństwa—powiadam państwu.

Nie dość, że w burzycielskim nastroju będąc, rozwalają domy warszawskie, szczególnie w nowej dzielnicy zajmującej przestrzeń między ulicami: Nowogrodzką, Marszałkowską, Piękną, Mokotowską i placem Aleksandra, w której to dzielnicy przesłiczna siekaninka ulic bawi oko przechodnia, a burzyłyby dla tego, żeby parę mniejszych lub większych placików utworzyć—ale chciałby, żeby rozbudowująca się wciąż Warszawa nadal baczniejszą uwagę zwracała na tworzenie się tych, brakujących niżej jej—placów.

Sprzeczałyśmy się do upadłego: on tak, a ja tak! Oczywiście, że przy mnie słuszność była, tylko mi jej pan Honory przyznawać nie chciał...

I tak we wszystkim.

Naprzykład:

Dowiedziałem się, że przesłiczna miejscowość, znajdująca się na rogu ulicy Marszałkowskiej i Hożej, niegdyś własność s. p. Kronenberga, jest do sprzedania. Oczywiście, że piękne owe terytorium, z pałacem wewnątrz i ogrodem wspaniałym zbyt długo na kupeców nie będzie czekało. Kupią, rozparcelują, wzniosą pyszne kamienice, na rogu oczywiście szynk gościnne swoje podwoje otworzy, ciepłe zapachy przepalonych sosów oznajmią zgłodniałym przechodniom, że restauracja jest nie zagórąmi i czegoż chcieć więcej?...

Wiadomością tą podzieliłem się zaraz z panem Honorem.

Myślicie może, że się ucieszyli?...

Gdzie tam!...

Wyjechał z projektem, który mógłby się urzeczywistnić, gdzieś, daleko, choćby w Japonii nawet—ale my, panie, nie jesteśmy Japończykami.

Oto, co mi powiedział pan Honory — ale, spytał nasamprzód!

— A co byś ty zrobił, kochanecku?...

— Postawiłbym kamienicę..

— Masz pieniądze? przerwał...

— Nie mam...

— To nie postawisz — rzekł, jakby uspokojony. Ale gdybyś miał—to co byś zrobił, kochanecku?

— Postawiłbym kamienicę—rzekłem—przynajmniej o piętrach pięciu. Zbudowałbym, tak, ażeby, w najgorszym razie, dotrwała do chwili, w którejbym mógł ją za dobre pieniądze sprzedać. Tymczasem, ponieważ są w poszukiwaniu *niewielkie* mieszkania, postarałbym się, ażeby każdy lokal, był rzeczywiście *niewielki*, to jest składał się z pokoi-ków maciuciuciupeničkih, z klateczek samych, urządzonych w ten sposób, że samby Salomon nie wiedział, gdzie łóżko, a gdzie stół postawić: Ale tu mnieby już obchodziła—ilość służących do wynajęcia lokalów, nie — wygoda lokatorów. Komorne podnosiłbym z rokiem każdym, co zresztąby niktogo nie dziwiło, jako rzecz praktykowana od dawna, do której przyzwyczaić się można—żadnych bym porządków wewnątrz mieszkań nie robił, — niech płaciele wysokiego komornego myślą o tem. Gdyby zaś zawiłki lament podnieśli mieszkańcy mego domu, załatałbym jakąś dziurę w ścianie, dymiący piec poprawił—i na tem koniec. Literatów bym za żadne pieniądze nie miał u siebie nie chciał, bo to naród nieobyczajny i szkalujący nas niepotrzebnie. (Mówię *nas*, mając już na myśli *siebie*, jako przyszłego właściciela kamienicy)...

Jak na stół, wyłożyłem przed panem Honorem interes dobry—i co powiecie państwo?

Nie podobało mu się.—Mój *kochanecek* z innym wcale nosił się projektem...

Uroił sobie, że u nas są kapitaliści, którzyby, z małym dla siebie zyskiem, a dużą wygodą dla publiczności,—mogliby, omawiane terytorium, zakupić, nie rozparcelowywać go w całe, pięknego ogrodu nie niszczyć, lecz zachować w całości, jako prawdziwą ozdobę miasta, na której niby zbywa na-

szej Warszawie. Okolający mur ten park wspaniały, ma być zniesiony, zastąpić go zaś powinno ogrodzenie żelazne, z bramami od ulicy Marszałkowskiej i Hożej, któreby wchodzić mogli ludzie spragnieni świeżego powietrza, zieleni i ciszy.—Pan Honory nie jest od tego, ażeby w pozostawionym frontowym domu utworzyć sklepy, pozwała nawet pałac znajdujący się wewnątrz ogrodu, zamienić na przybytek sztuki, w którym by można było, marzoną oddawna zbudować salę koncertową i teatr letni, zgadza się nawet na cukiernię i restaurację i Bóg wie nieco, byleby tylko ogród ocalić i oddać go na użytek publiczności. Wzywa miasto, ażeby pomyślało o tem, jakby to mogło co nasze miasto obchodzić; wzywa ludzi dobrej woli, nota bene mających pieniądze, co także jest zadaniem niełatwym. Tłumaczył mnie godzinę całą,—że Marszałkowska ulica,—(jakbym ja o tem nie wiedział)—będzie z czasem jedną z pierwszych, w środkowym więc jej punkcie ogród publiczny, ze względu na wygodę, zdrowie i piękno, jest koniecznością, niepotrzebującą rozprawy. W innych, a wielkich miastach, nie żałują tysięcy na zakładanie ogrodów podobnych, tu zaś wszystko mamy gotowe, tylko potrzeba niezrażać się trudnościami, projekt jego do serca wziąć, ad acta nie odkładać, pomyśleć, pieniądze znaleźć i—wykonać!...

Bagatela!

Pomyśleć—to można jeszcze, pieniądze znaleźć... (Pan Honory patrzył w tej chwili w stronę mokołowskiego pola)—trudniej, ale gdyby i jedno i drugie się udało—to najtrudniej z tem wykonaniem jakas...
Gdyby to ktoś, bez nas zrobił, jakieś towarzystwo belgijskie czy nassauskie — to możeby z tego pieczywa i chleb był; ale pan Honory chce, żebyśmy wszystko robili sami.

To—proszę państwa—jest wprost oburzające. Zajął się jednak tak swoją myślą, że stracił sen i apetyt.

Biedaczysko!...

A jednak?...

Hm!

Ogród spacerowy przy Marszałkowskiej ulicy, ten wspaniały, Kronenbergów ogród?...

Doprawdy, że myśl dobra!

Zaczynam odczuwać wpływ pana Honorego, a tak się zawsze lękałem sugestyi.—Ale...

Oszukało nas babie lato, oszuka nas i marzenie o pięknym ogrodzie—zawodu nam nie uczynią tylko kalendarze, iście z siłą potopową nas zalewające.

Nie miałem czasu jeszcze przejrzeć wszystkich ich dowcipów i niektóre tegoroczne wydawnictwa kalendarzowe wyróżnić. Jak dotąd, to jeden tylko Kalendarz Albumowy Polski, który się mieni satyrycznym — humorystycznym — na szczyry pokłask zasługuje. Zdobi go nie mała liczba rycin doskonale wykonanych, nieraz prawdziwie pięknych, a i humor jest zdrowy i śmiech, ten towarzysz wesela, nieraz pierś naszą porusza. Rym i proza podały to sobie uścisk bratni i walczą o lepsze; czasem ostry ząb satyry ugryzie ciebie, ale nie możesz się gniewać, bo sercem ugryzł; poczujesz ukłucie prawdy—lecz to ci na zdrowie tylko wyjdzie, bo ona do tych lekarstw należy, których, zdwojone nawet dawki, nigdy o śmierć nie przyprawia, a jeżeli zółtrochę wzruszą—wątrobie nie zaszkodzą.

Z kilku roczników, kalendarz, o jakim mowa, widzimy, że pod dobrą jest redakcją, że nie dba o zdawkową monetę dowcipów dla dowcipów, które tak często obrażają słuch przywoity, a znajdując się w rękach wszystkich, bo do kalendarza i dziecię i sługa zajrzy — nie zawsze zdrowym, bywają pokarmem. Kalendarz tym czasem może być książką nie małego znaczenia; poczytność jego już powinna nakazać sumiennym wydawcom, czego się trzymać powinni, o czym mówić, a o czym zamilczeć należy. Mamy nadzieję, że omawiany przez nas rocznik nie zejdzie z raz obranej drogi; dla zysków materyalnych nie poświęci szlachetniejszej idei, a ulepszając się z rokiem każdym, będzie nie tylko, z powodu luksusowego wydania ozdobą salonu, ale dobrym przyjacielem, i pożądanym a oczekiwany z niecierpliwością gościem noworocznym.

Nie miło nam jest, że o innych, miniaturowych jego braciach powiedzieć tego nie możemy. Te kil-

kunastokopiejkowe kalendarzyki, już dla taniości swojej rozechwytywane przez tłum gawiedzi—nie wiadomo *cui bono* pojawiają się na półkach księgarskich. Niesmaczne dowcipy, nieprzywoite ryciny, odgrzewane koncepty, pojawiają się na każdej stronie i są dowodem zaniku dobrego smaku w tych tłumach czytelników, które, popierając podobne wydawnictwa, czynią ujmę swojemu sercu i głowie, nabijają zaś kieszenie geszefciarze. Jak przeklęty duch Ahaswerusa pokutuje w nich nieumęczenie teściowa,—jedno i to samo, wciąż w kółko i w kółko, jakby już świeższego nieco przedmiotu dla dowcipu zabrakło, jakby już niczem innym, tylko wcielaniem samego dyabła, ta teściowa być nie mogła...

Zaniesmaczne to i głupiel!

Nic innego o tych liliputach powiedzieć nie możemy.

Jesienny sezon dla melomanów warszawskich zozpoczął się niezgorzej. Zapoczątkował go Willy Burmester, który bez reklam przedwstępnych, bez uprzedniego szeregu tryumfów, zagrał sobie w Berlinie—i od razu miano pierwszorzędnego mistrza smyczka uzyskał; zagrał sobie w Warszawie—i ręką tysiące do okłasku zmusił i zbudził czarodziejską o Paganinim tradycję. Tak czynią mistrze prawdziwi: eicho, spokojnie ale odrazu się wnoszą.

To lubię!

Po czarodziejskich skrzypkach Burmestra, przyszła kolej na słowiczy głos Marceliny Sembrich-Kochańskiej. Nie dziwnego, że mimo cen podniesionych sale reutowe nie mogły pomieścić widzów, z czego nawet pewne nieporządki wynikły, jak mi o tem, skwaszony wiecznie, pan Honory powiedział:

Co słyhać więcej?

Gdzieś daleko grzmi, huczy, błyska. Francuzi na Niemców za Sedan się gniewają, Niemcy klną się, że im nie oddadzą Alzacy, John Bull się irytuje, Włosi makaronu jeść nie chcą, Melnelaus spokojnie nie wybrały się w podróż do Krety — ale u nas cicho.

Za plecami mojami stanął pan Honory.

Znowu on!

— Dzień dobry ci, kochanecku!

— Dzień dobry, panu.

— Czy czytałeś poezje Langego?

— Nie, panie.

— To przeczytaj!

Położył książkę na stole i wyszedł.

I po co mi czytać on to każe?

Ale przed panem Honorem sianem się nie wykręcisz. Przeczytać musisz i to nie byle jak przeczytać, bo jak cię weźmie na spytki, to w bardzo krótkim przeciągu czasu pozna, czyś się tylko okładce przypatrzył, parę stronie przerzucił, czy jak należy przestudowałeś rzecz całą.

Wyznam w pokorze ducha, że chciałem sobie pójść na birbantkę ale stary mantyka termin mi naznaczył, w którym niezawodnie z sondą do mnie zawita.

Westchnąłem—dość nawet żałośnie westchnąłem, ale—jak już się rzekło—od pewnego czasu zostawałem pod tajemniczym wpływem pana Honorego. Wziąłem więc książkę do ręki.

A. Lange. *Poezje* (Czerwony wykrętas). Część I. Na pierwszej karcie spotykam *Sielanki*—w nawiasie (*Plein-air*).

Zaczynam czytać. Zrazu czytam oczyma tylko, ale po paru strofach, już czuję, że myśl się rozgrzewa.

Zaczynam deklamować:

Złote jaskry, fioletowe,
Gęste kępy macierzanki—
Rzadkie maki purpurowe:
Pleść je w wianki dla kochanki.

I dalej:

Szumią — szumią — szumią drzewa.
Szumem dziwnej melanolji,
Szmer falisty brzoź się wlewa
W metaliczny jęk topoli.

Przeczytałem do końca, tchem jednym—*Sielanki, Erotyki, Sonety wedyckie, Księgi proroków*, wspaniała *Pieśń o sławie*, przepyszny urywec z poematu *O Waligórze i Wyrwidębie*, aż do zamykającej tom *Godziny*...

Pan Honory stanął za mną.

— A co?—zapytał.

— Dziękuję panu za bardzo przyjemnych chwil kilka. Poezycje Langego, są jednym więcej dowodem, że co jest piękne, musi być trwałe. Poezycje więc jest nieśmiertelne...

Poznajcie się szanowni czytelnicy z tym tomikiem prac Langego a nie pożałujecie straconego czasu.

??

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

KLESKA.

POWIĘŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Na ganku nie było nikogo. Stary Malecki w ogrodzie grusze oglądał, które po obfitem kwitnieniu drobnym owocem się okryły, młody siedział u siebie w izbie pochylony nad książką.

Gdy bryka stanęła we wrotach i zadudniła po twardej ziemi podwórka a pies zajadłe zaszelekał, Andrzej rzucił książkę na stół i wyjrzał przez okno.

Nie poznał Chostyny—od dawna go nie widział, nie poznał go przynajmniej na pierwszy rzut oka. Pan Aleksy zresztą w ostatnich czasach zmienił się nieco. Wzrostu był średniego, zbudowany dobrze, ale teraz zaokrąglać się zaczął i niemałej nabierał tuszy. Włosy na jeża strzyżone, dawniej były koloru orzechowego drzewa, dziś spłowiały trochę, przeredziły się i świeciły jakby popiołem przysypałe. Najwięcej tego popiołu znać było na wąsach, które podcinane równo, ostrym włosom sterczały naprzód. Nie zmienił się tylko wyraz twarzy: do broduśnym został zawsze, te same pozostały i usta, z których uśmiech odlatywać był nie rad.

Andrzej zrazu nie poznał pana Aleksego. Wyszedł na ganek powitać gościa, który uśmiechnął się i ręce już zdaleka wyciągał.

— Anderek—jak Boga kocham—on sam!...—wołał Chostyniecki, wysiadając z bryki i sapiąc nieco—a widząc, że Andrzej wpatruje się, śmiać się zaczął. — Nie poznajesz Chostyny — ha? — zawołał.

— Aaa!—wypadło z ust Maleckiego.

Zaczęli się całować, aż za bliską stodołą ukryte echo raz w raz im odkłaskiwało.

— Pan Aleksy! O to radość, o to niespodzianka dla mojego staruszka!... Wspominaliśmy o panu ciągle, a ojciec na dobre zatęsknił i oczekiwał go codziennie. Niech wypadkiem z rąk mu się wysunie przedmiot jaki i na ziemię upadnie: to Aleksy śpieszy się do mnie—mówił zaraz; dziś gospodyni gładzysz stłukła z mlekiem, nie gniewał się wcale, tylko zwrócił się i rzekł: Zobaczysz Anderek, że Aleksy przyjedzie!... I przyjechał, na wielkie pocieszenie jego.

— Co to za pocieszenie ze mnie—odezwał się Chostyniecki—gdy ciebie ma. Ale pocziwy stary, kiedy tak gadał... No—pokaż mi się, pokaż—ciągnął dalej, odstępując kroków parę i przypatrując się Andrzejowi.—Ha!... wyrósł z ciebie chłop, jak sosna wysoki, a jak mak piękny! Toż to muszą dziewczęta zęby szczyrzyć a oczy wywracać.

Andrzej uśmiechnął się i wąs podkręcił.

Nie przesadził Chostyniecki w pochwałach. Andrzej był prawdziwie pięknym mężczyzną. Rosły jak dąb—a jak kwiat na bujnej ziemi rozkwitły, świecił powabem świeżości i zdrowia, pociągał urokiem młodości i siły, spotykanej dziś coraz rzadziej. Dużo powabu dodawał mu strój, którym się odróżniał od reszty swoich sąsiadów. Zaściankowa szlachta nie ubierała się w siermięgi, nosiła surduty, kamizele i czapki o błyszczących kaszkietach. Surduty kupowane na jarmarkach, najchętniej od przekupniów niemieckich, nieodzynały się wcale powabnym krojem: miały poły za długie a rękawy za krótkie przyczem w plecach marszczyły się zawsze, tworząc fałdy poprzeczne. Andrzej czuł wstręt do tej parady ubrań pańskich, nie chciał zaś brać wyszukanego stroju, żeby go nieposądzono o chęć wyróżnienia się od reszty braci. Sprawił więc sobie węgierską czamare, w stan w padającą, spodnie obcisłe, buty ze sztylpami i okrągłą czapeczkę z kogueim piórkiem z boku. Ani pański, ani szlachecki to był strój—a że w nim pięknie wyglądał, dziewczęta uśmiechały się do pana Anderka, mizdrzyły się i—marzyły. Do marzeń zmuszały ciemno szafirowe oczy młodzieńca, które czasem jak gwiazdy świeciły, czasem patrzyły smutnie na świat boży; usta miał, niby dwa wywrócone listki róży, zęby równe i białe, a włos złotawego koloru związał się w lekkie kędziory i lśnił jak jedwab. Z lubością przypatrywał się i Chostyna synowi pana Krzysztofa, kręcił głową, podnosił brwi, ruszał wąsami i cmokał.

— Lubo patrzeć, lubo patrzeć!...—mówił.

I śmiejąc się dodawał:

— Aj, aj—co ty tu wyrabiać musisz, Anderku—strach pomyśleć!

— Ej, nie tak bardzo—odpowiedział Andrzej.

— Ale zawsze—śmiał się Aleksy.—No, a ojca zastałem?

— Jest przy gruszach w ogrodzie—może pójdzem do niego—rzekł Andrzej.

Udali się do ogrodu, który wązkim klinem wrzywał się w posiadłości dwóch sąsiadów.

Stary Malecki spostrzegł idących.

— A co gładzyszka?—zawołał uradowany.

— Wyprorokował, to i dobrze!—zaśmiał się Chostyniecki.

Czworo ramion w przyjacielskim uścisku się splótło.

— Dawno już was nie widział, panie Malecki—mówił Aleksy.—Ale chwała Panu Bogu i ciebie i syna zobaczył.

— Czy to czasem nie na bal do Baczyńskich—spytał Krzysztof.

— A tak!

— Jakże to? Minął Jarnę i do mnie?

— A widzisz? Wszyscy jedzą ananasy na końcu, a ja nasamprzód do ananasa wziął się.—Gdzie serce więcej pociągnęło, tam ja i ruszyłem.—Ot co!

— Dziękuję—mało takich jak ty—odpowiedział Malecki.

Wracali od grusz ku dworowi, który nurzał się w zieloności i ostatnich blaskach zachodzącego słońca. Rosienka pięknym łukiem załamawiała się niemal przy samych ścianach krzysztofowego domu, a cofając się nagle, zdawało się, że na to tylko tam podbiegła aby zajrzeć przez okno do pokoju Andrzeja, czasem cień jego postaci pochwycić, odbić w swych falach ruchliwych, zawrócić się i z cichym szepem wpłynąć między ciemne pnie olszyn, prześliznąć się przez krzewy wikliny, raz jeszcze na łączce zielonej srebrzystym węzłem błysnąć i ukryć się w sadzie wiśniowym, należącem już do sadyby pana Macieja Pietrosiewicza. Dwie własności oddzielał parkan wysoki, który się tam tylko przerywał, gdzie wązka struga Rosienki płynęła.

Po Maleckim, Pietrosiewicz był najzamożniejszy z zaściankowiczów, a że miał jedną tylko córkę, na chrzcie świętym Petrunelą nazwaną, zadzierał trochę nos do góry i niepozwalał jedynaczce lada z kim się wdawać.

— Nie pospolituj się, Petrusiu!—mówił, gdy czasem spotkał dziewczynę, przez płot z jakimś parobczakiem wiejskim rozhovor wiodącą. Tego samego zdania była i matka Barbara, szczególnie, od kiedy Andrzej przyjechał i zapoznawać się z sąsiadami zaczął. Anderek był edukowany, szczęściem, że i Pietrosiewicze nie zapomnieli o swej jedynacz-

ce. Petrusia umiała czytać i pisać, rachować nawet do tysiąca na papierze. Ale nie tylko tym imponowała swoim sąsiadkom—zamożność u niej „kapła” jak mówiono. Żadna ze szlachecianek nie miała tak spódnice wykrochmalonych i szeleszczących, jak ona, ni tyle błyskotek zawieszona na szyi, ni tyle kładła pierścionków na palce, ani tak wielkimi koleżkami obciążała sobie uszów. Na pannę Petrunelę młodzież całej Szlachty oczy zwracała, bo wiadano, że ojciec tysiąc karbowanów na wiano jej przeznaczył, a po najdłuższym życiu pana Macieja, ładny kawał gruntu z sadybą w spadku jej przypadła. Zanim Andrzej przyjechał Stach Czubalski mile był przez Petrusię widziany—ale teraz panna Pietrosiewiczówna coś grymasić zaczęła i często ją widzieć było można, jak przez szparę szerokiego parkanu szarozielonawe oczy zapuszczała w głąb krzysztofowego ogrodu.

I teraz, okrążając ogród Maleccy ze swym gościem, jakiś szmer posłyszeli za parkanem. Ale Krzysztof i Aleksy nie zwrócili na to uwagi, Andrzej tylko wyprostował się nieco, uśmiechnął się, podkręcił wąsika, czapeczkę na głowie poprawił i pół twarzą zwrócił się do miejsca, z którego biegł cichy szelest wykrochmalonej spódniczki.

Nie omylił się.

Szarozielonkawe oczy Petrusi patrzyły przez szparę ogrodzenia.

— Do izby, czy na ganku siądziemy?—zapytał Malecki Chostynę, zbliżając się do dworu.

— A ktoby teraz w izbie siedział!—odparł zapytany—czy to zima?

— To i lepiej!...—rzucił pan Krzysztof, a zwracając się do syna dodał:

— Przynies nam buteleczkę miodu... Takiego gościa i kapucyńskim potraktować można.

Andrzej poszedł wypełnić rozkaz ojca—Chostyniecki zwrócił się do Krzysztofa.

— Niema co mówić—rzekł—doczekałeś się syna, że popatrzeć lubo. O nauce nie gadam, bo z oczu widno, co rozum jest, ale że chłop, jak malowany, to już żaden i wróg by temu nie zaprzeczył.

— Udał mi się, to prawda!—odpowiedział Krzysztof.

— Ale—zaczął Chostyna.

Urwał nagle, bo wszedł Andrzej z pękata butelką i trzema szklankami, które postawił przed nimi na stole.

Krzysztof wypełnił szklanki i przepił do Aleksego.

— Zdrowie twoje Chostyniecki!

— Nawzajem — a i do ciebie Anderku obracam się.

— Dziękuję—odpowiedział Andrzej.

Stuknęli się.

Andrzej usiadł przy stole pomiędzy ojcem a gościem, i położywszy czapeczkę na ławie przy sobie, odezwał się do Chostyny.

— Coś właśnie mieliscie mówić, panie Aleksy, gdy wchodził z buteleczką miodu—ale zobaczywszy mnie, urwaliście w pół słowa. Czy to sekret jakiego, co?

— Mówił o tobie, synu—rzekł Krzysztof—i rzeczywiście, zdania jakiegoś nie dokończył.—No, Chostyniecki, gadaj, co masz! Przy Anderku nie ma się czego mitygować.

— A wiecie o co ja was chciałem zapytać?

— No? no?—odezwali się razem ojciec i syn.

— Patrzył się ja na Anderka i zauważył, co urodę ma a nauka sama z oczów jego wyłazi. Zresztą ja wim i bez tego, co pan Krzysztof nie żałował na edukację i chciał żeby syn jego wiadomościami różnemi głowę napełnił. Nauka zawsze się przyda—to prawda, ale nie zawsze ona szczęście człowiekowi przynosi, chyba... chyba, że Anderek—dodał po chwili pan Aleksy—nie ma zamiaru w Szlachtyce się ostać i gospodarować tak, jak ojciec, dziad i prapradziad gospodarowali.

— O! to się mylisz—odezwał się pan Krzysztof.—Nie na tom ja na naukę syna posyłał, a żeby on o własnej grzędzie zapomniął. Ja wim, Chostyniecki, co ty na myśli masz: Ekonomstwo może w branieczyźnie, a później i rządostwo w jakimś pańskim majątku. Z ekonoma często na pana się wychodzi, ja to wim—ale wim także, że często

pan taki złodziejem pachnie, a choć udają ludzie, że tego nie widzą i nisko kłaniają się wypełnionej kieszeni—to widzi Pan Bóg na niebie zkąd to bogactwo się wzięło i przyjdzie chwila, w której duszą a sumieniem swoim zapłacić będzie musiał pan taki. Nie, Chostyniecki, lepiej grzęda swoją i praca choćby ciężka na własnym zagonie, niż, choćby bez złodziejstwa nawet, cudzych kątów wywieranie, dla tego, że grosza się więcej złapie. Ja to wiem i ty wiesz dobrze—a miałeś przeto myśl inakszą?...

— Trudna z tobą rozmowa — zaśmiał się pan Aleksy—kiedy ty cudze myśli, jak swoje własne czytasz, choć—powiedziawszy prawdę, nie konieczne tak bywa, jak ty mówisz, ale że tak bywa najczęściej, to temu zaprzeczysz trudno. Lepsza swoja niż cudza chata — wiadomo! tylko powiedz mi, Malecki, co twój syn z nauką swoją w takiej Szlachetówce robi? Rozumem jest wyższy i sercem wyższy jest od tych wszystkich kawalerów, co chodzą w surdutach, żeby się z chłopami nie bratać a tym czasem od chłopów nie różnią się niczem. A panny wasze, co gęsi pasą i za cielętami ganiają — czy rozumieją Anderka, czy czuć tak jak on potrafią, czy potrafią załaskotnąć mu po sercu?—Ot, co ja myślał i o czem ciebie, Malecki, chciał zapytać, ale, gdy przed Andrzejem sekretu nie ma—niech sam za siebie odpowie. Pomyślałeś ty o tem kiedy czy nie?—zwrócił się do krzysztofowego syna.

— Pomyślałem—odpowiedział Andrzej po krótkiej chwili milczenia.

— I nie markotno ci będzie żyć tutaj?

— Nie, panie Aleksy.

Chostyniecki wpatrzył się w mówiącego.

— Poważnie ty mówisz, Anderku! Widno, że ty przemyślał już nad tem i sam przed sobą ze wszystkiego akuratanie zdał sprawę. Możeby ja tobie nie uwierzył, gdyby ty to powiedział—ot, zyczajnym głosem, bez namyslenia się i zastanowienia się poważnego. Ale ja tobie coś jeszcze powiem, czego ty nie wiesz, czego ty nie przeczuwasz jeszcze, ale co przyjść musi, jak amen w pacierzu. Bo gadaj co chcesz, ty już inny niż twoje sąsiady z za parkanu. Teraz myślisz, co tobie książka wystarczy; wystarczy ona na dzień jeden i drugi, na jeden i drugi rok, ale nie na życie całe. Przyjdzie wola boża i żenić się zechcesz—to trudno! A czy ty znajdziesz pannę, któraby tobie po sercu była i rozumiała, co myśli rozum twój wykształcony? Chyba ty się nie myślisz nigdy żenić Anderku?

Andrzej zdawał się namyslać chwilę, później rzekł głosem, który Chostyniecki poważnym nazywał.

— Ożenie się, panie Aleksy!

— Tutaj?

— A gdzie?

— Prawda, że każdy zaścianek jednaki i wyboru nima. Tak i zenną! Ty do mnie trochę podobny, tylko — że ty patrzysz weselej w dzień jutrzejszy niż ja. Ja nigdy jeszcze tak śmiało i prosto nie powiedział: ożenie się! choć ty młody i dużo czasu masz przed sobą, a mnie już nie wiele do namysłu zostało; choć ciebie jeszcze twoja chata nie ziębi, a mnie już chłodno w mojej. Dotknę się ściany tej, to tej—łód! położę głowę na poduszkę—łód! pierzną się cały okryję—łód! zawsze! Rób, co chcesz, a żona potrzebna jak kawce dzwonnica. Tym czasem...

Zrobił znaczący ruch rękami i westchnął.

— Panu jednak łatwiej...

— Mnie?—przerwał Andrzejowi Chostyniecki.

— Pan przecie żyjesz w innym świecie ode mnie.

— Zerwałby ja z tym światem, gdyby mnie w domu szczęście się zaśmiało.—Ale co tam o tem gadać.

Pochylił głowę ku ziemi i stukając nogą o podłogę, raz wraz poruszał oczami.

— Panie Aleksy — zaczął Andrzej — nie myśl, że mi łatwo było pogodzić się z życiem, jakiem żyć muszę. Zapoznawszy się ze swojemi sąsiadami i sąsiadkami zobaczyłem, że mnie nie z nimi nie wiąże bo się trochę sercem i głową przerosło. Zdała będąc od nich tęskniłem do rodzinnego kawałka ziemi, do chłopaków, z którymi bawiłem się w latach dziecinnych, i do dziewczęcego śmiechu, który wywoływał echa skalne. Ale marzenia są zawsze piękniejsze od rzeczywistości. Wehłaniając

naukę, nie przypuszczałem, że ona nie zbliża do nich, lecz od nich oddala. Zetknawszy się dopiero tu, z nimi—powiem otwarcie—uczułem przestrach.

— A widzisz?—odezwał się Chostyna.

— Nie zrozumieliśmy się — — —

— A co?

— Uczułem ból — —

— No i jak ty sobie poradził?... Bo to tak, jak gdyby ty wyszedł za próg chaty i drogę zgubił. Nazad wrócić nie możesz, a iść przed siebie... Dokąd? Pałace są i miasta wielkie są, ale tam nie wszystkich wpuszczają.

— Tak—tak!—zawołał Andrzej.—Stanałem na rozdrożu dwóch światów. Świat, którego umysłem może byłem bliższy—otwiera drzwi swoich pokojów rozumom wielkim albo—wielkim pieniądзом. Zwyczajnych takich śmiertelników, jak ja—ma dosyć; a przybysz z innej sfery, lecz równy rozumem tysiącom,—niepotrzebnym jest w ich stosunkach ciężarem. Nie urodziłem się wśród nich—dla czego mam ich pożądać? Tę prawdę zrozumiałem tu dopiero i uczułem czem jest—samotność!

— No i jakże ty sobie poradził? — zapytał znów Chostyniecki.

Andrzej uśmiechnął się i pochyliwszy się ku ojcu w ramiona go ucałował.

— Ot, kto mi poradził i oczy otworzył na świat bardzo szeroki...

— Abo ja rozumiem, co ty gadasz? — odezwał się Aleksy.

— Anderku! masz do uprawy dwa pola—zaśmiał się syn pana Krzysztofa.

Chostyniecki to na ojca, to na syna patrzył, zbierał myśli, coś kombinować zaczynał, wreszcie z ust jego dłuższe:

— Aaa!—wypadło.

— Rozumiesz?—odezwał się pan Krzysztof.

— To moje zadanie!—dokończył Andrzej.

Aleksy głową pokręcił.

— Trudno!—rzekł.

— A ja ci powiem, Chostyniecki, że nie tak bardzo jak tobie się wydaje—zaczął Krzysztof.—Grunt twardy, ostrego pługa potrzeba, ale niekoniecznie kamienie tylko wyorzesz i tylko na nieurodzajny grunt natrafisz. Starsi zapomnieli o młodszych braciach i schłopięć im dali. Zapomnieli o nich i o innych rzeczach jeszcze, o których pamiętać było potrzeba. Nie na marmurach pałace stoją, ale na granitowych podstawach. Czy ty rozumiesz, Chostyniecki?

— Rozumieć to rozumiem, ale nie wiedział, co ty taki mądry...

Pan Krzysztof zaśmiał się, wskazał na łeb swój, na nogę i rzekł poważnie:

— To daje rozum.

— A dla czego inni go nie mają? — zapytał Aleksy.

— To już mnie nie do tego—odpowiedział stary.

— A ty co?—zwrócił się do Andrzeja Chostyna.

— Nie nudzę się! Sam się uczę i uczę drugich, promyk do promyka rzucam i coś im przypominam i powoli otwieram serce i oczy—na posąg piękny.

— Zrozumieją ciebie?

— Nie zupełnie zapomnieli.

— Nie wiedział ja, co ty Malecki mądry taki—raz jeszcze do starego zwrócił się Aleksy.

— I widzisz dzisiaj mnie, — ciągnął Andrzej—zupełnie spokojnym, i całego oddanym pojętej już dobrej pracy. A jeżeli rozjaśnią się rozumy, zżacnieją serca, poprawią się obyczaje, i—jeżeli następcę po sobie zostawię — czy powiesz, że ja nie nie zrobiłem?

— To ty się ożenie tu myślisz? — zapytał Chostyniecki.

— Powiedziałem przecie panu...

— A upatrzyłeś już sobie kogo?...

Andrzej wzruszył ramionami.

— Jeszcze nie. Ale wiesz pan, że tu są dobre dziewczęta i można znaleźć ciche, domowe szczęście.

Chostyna westchnął.

Umilkli—i mimowoli zwrócili się ku drodze wiejskiej, którą wypełniać zaczęła fala siwego kurzu.

— Trzoda!—odezwał się Krzysztof.

— Zobacysz nasze panny—rzekł Andrzej.

— Jakto?—zapytał Chostyniecki.

— Z pastwiska było wraca, — wybiegną więc po owce swoje, cielęta i krowy, żeby do innej nie zabłąkały się sadyby.

Fala siniego kurzu rozszerzała się i wydłużała, wybiegały z niej różne dźwięki i głosy i nieporównaną muzyką wsi wypełniły powietrze. Drżące beczenie owieczek, tupotanie ich nóg małych, poważne ryki krów, psów ujadanie i klask pastuszego batoga: mieszały się z wesołym śmiechem dziewcząt nawołujących bydełko niesforne do zagród swoich.

— Baś, baś!—brzmiało co chwila.

— Tu, ciołuś—tu!—wołano z innej strony.

Uciekającym zabiegano drogę i do wrót naganiano.

Tą gospodarską czynnością zajmowały się tylko kobiety. Mężczyźni po całodziennych zajęciach na polu, wróciwszy do domu, opatrywali brony, pługi i radła, zarzucali spracowanym koniom pokarm za drabiny, to wodę nalewali do koryt przy studniach, by swoim niewiastom ulżyć w czemkolwiek. Pracowali wszyscy, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, parobcy i dziewczęta. Nie stać im było na sługi, a gdzie praca większego wysiłku wymagała, tam brat sąsiad przybywał z pomocą. Jakób szedł z własnym pługiem na pole Macieja, Maciej, odwdzięczając się, kilka kóp zboża Jakóbowi postawił; Weronika nieraz pomagała Agacie konopie trzeć, za co ta parę grządek kapusty jej wysadziła. Myła więc ręką rękę, a choć się czasami bez jakiejś *swarki* nie obeszło, pan Krzysztof łagodził nieporozumienia i powaśnione niewiasty, albo skaczący sobie do oczu dwóch zadzierzystych szlachciców—do zgody a zapomnieniu uraz przyprowadzał. O wynajętej służbie nie było mowy; po co zresztą ona, gdy każdy dom szlachecki cieszył się błogosławieństwem bożem i jeżeli nie dwóch to trzech miał synów, jeżeli nie trzy to cztery miał córy, które jak łanie kręciły się w każdej zagrodzie zaścianka.

Na zbytek pewien w tym względzie mógł tylko taki Malecki pozwolić a Pietrosiewicz drugi. Panna Petrunela dla zabawki chyba szła z sierpem w pole, wolała motać nici albo na krosnach sobie fartuszki wyszywać, a najcięższem zajęciem jej było, jeżeli w warzywnym ogrodzie przy grządce jakiejś usiadła i spełła parę rzędów marchewki albo worek ogórków wybrała. Robiła to nie z potrzeby, ale więcej dla zabicia czasu, bo stary Pietrosiewicz dwóch najemników trzymał a wiejską dziewczynę dał do posługi swojej babie. Od kiedy jednak Anderek przyjechał i wpadł w oczko Petrusi, nie wiedziała już sama czy jej wypada na grządce siadać a nawet cokolwiekby robić. Krochmalila tylko coraz więcej spódnice, płowe włosy smarowała topolową pomadą, aż błyszcząły na słońcu i stroiła się w ciemne kwiaty nastureyi albo warkocze swoje czerwoną piwonją ubierała.

Andrzej dość prędko zrozumiał zamiary panny Petruneli i dowiedział się dlaczego i z czyjego powodu próznować zaczęła. Prawda, że nie tylko Petrusia, ale i inni sąsiedzi patrzyli na syna krzysztofowego, tylko gdy ona mu prosto w oczy, tamci z ukosa spojrzeli, nie wiedząc jeszcze co sądzić o nowym przybyszu, który i w *gimnazji* był i całą półkę książek w izbie swojej postawił.

Ale w połowie wiosny nadszedł pierwszy czas wspólnej sianożęci i Anderek z kosą na ramieniu w szeregach bratnich stanął.

Panna Petrunela zarumieniła się po uszy a radośne: aaaa! z ust szlachciców wypadło.

Zrozumiał Andrzej ten okrzyk radośnego zdziwienia i, zrazu niepewna myśl pracy, jaką miał podjąć—zamieniła się w niewzruszone postanowienie.

— Dwa pola—szeptał.

— Tak! oba muszą wydać pszeniczne ziarna...

Położyły się duże pokosy traw, serca kosiarzy zwróciły się do Anderka, który coś w sennej ich pamięci rozbudzał, a w ogrodzie warzywnym Petrusia dwie grządki spełła.

— Ciołuś! ciołuś! — dał się słyszeć dźwięczny, dziewczęcy głosik tuż koło wrót domu Maleckiego.

Na Krzysztofa podwórko wpadł czarny, rozbrykany byczek a zanim wbiegła dziewczyna lat ośmnastu o oczach bławatkowych, ciekawym nosku, i o pulchnej a zarumienionej twarzy, po której drobnymi kropkami pot ściekała. Oddychała szybko, goniąc niesforne stworzenie, które po kolei wszystkie obejścia zwiedzało, lecz do swojego nie chciało zabiedz...

— Dzień dobry pannie Jagusi—zaśmiał się Andrzej, schodząc z ganku.

— Dzień dobry panu Andrzejowi—odpowiedziała dziewczyna. — Ach, Boże, co ja mam się z tym byczkiem—zawołała, opuszczając ręce wzdłuż kolorowego fartuszka. — Ja tędy a on tędy. Do cudzego podwórka, to zaraz—a do swojego ani rusz!

— Pomogę pannie —
— Kiedy uciekniesz —
— A za rogi?

Zaczęła się gonitwa. Jagusia ująwszy spódnicekę za dwa końce, trzepotała nią, zabiegając drogę ciolkowi.

Nagle spojrziała na ganek—zobaczyła Chostynę, którego nie знаła, zarumieniła się jak wiśnia i stanęła.

Aleksy popatrzył się na ładną dziewczę, które, jak koza przebierała nóżkami, nie wiedząc, co z sobą zrobić...

— Panno Jagusiu, tak nie można mnie samego zostawiać—zawołał Andrzej, śmiejąc się z pomieszania dziewczyny i z wytrzeszczonych pana Aleksiego oczu.

Jagna skoczyła.

— Ciołus—tu!

— Na, ciołus—na, — wołali oboje, ale byczek z pod rąk się im wysuwał.

— Chostyno pomóż!—zawołał Andrzej.

— Abo co?

Spojrzał na Krzysztofa.

— Malecki—ruszać?

Krzysztof śmiać się zaczął.

— A jak ze chęcą, to co!

— Może dziewczynę złapiesz—rzekł stary.

— Ot, koncept—ale nie szkodliwy! — odpowiedział Aleksy.

Zbiegł szybko — roztworzył ramiona, pochylił się, nogi rozstawił i krzyżeć zaczął:

— Ciołus—ciołus—ciołus!...

Nagoniony byczek wpadł prosto na Chostynieckiego, który go za łeb chwycił i już nie pozwolił figlować.

Jagusia otarła fartuszkiem pot z czoła i śmiejąc się, choć oczy miała w dół spuszczone, zbliżyła się do Chostyny.

— A jak mnie panna trud wynagrodzi?

Jagna dygnęła.

— Chodź już do domu—rzekła, zabierając cielaka, nastawiającego malutkie do niej rogi.

— Pomogę odprowadzić, pannie — rzekł Andrzej,—bo znów jeszcze uciekniesz.

Wyszli za wrota, śmiejąc się i rozmawiając wesoło. Andrzej pannie Agnieszce opowiadał o Chostynie, który brwi podniósł i patrzył za nią, sapiąc trochę od zmęczenia.

Niedaleko do dworku ojca Jagny, Ignacego Banasiewicza,—na ukos przejeść drogę tylko. Dość jednak Andrzejowi zrobić było i tych kilkanaście kroków, ażeby go dostrzegły zielonkawce oczy panny Petruneli. Stała we wrotach i poruszała się niecierpliwie. Andrzej zabawił chwil parę za ledwie a już Petrusia cały jeden bok wykrochmalonej spódnicy zmieniła, taki ją niepokój trapił.

— Panie Andrzeju—zawołała, gdy Malecki wyszedł z wrot, znajdujących się prawie naprzeciw sadyby Pietrosiewicza.—Panie Andrzeju!—powtórzyła głośniej i kiwnęła palcem na niego.

— Wybacz panna ale nie mam czasu — odpowiedział wołany.

— A z Jagną to pan miał czas?

— Spieszę do gościa, którego nie widziałem od dawna.

— A od Jagny nie było panu spieszo?

— Zaprowadziłem tylko jej cielaka, który wpadł na nasze podwórko, a schwytać go nie mogła—i wracam.

— Jagnie, to pan i ciele łapie—rzuciła opryskliwie Petrusia.

Andrzej się zaśmiał.

— Pannie Petruneli nie mógłbym w tym pomóc, bo panna w to się nie wdaje.

— A jużci!—odpowiedziała.

— Do widzenia pannie!

Petrusia nie odpowiedziała ukłonem, odwróciła się nadąsana i znikła za wrotami.

Andrzej nie obejrzał się, choć pewny był, że gdzieś przez szpary parkanu patrzyły szaro-zielonawe oczy Petrusi.

— A podobała mi się—rzekł do siebie.—Bał podoba mi się i ta i ta... Cóż, gdy zawsze jakiś zgrzyt fałszywy wybiegnie i tony pomiejsza. Czyż prosta melodia nie może nigdy bez tych zgrzytów się obejść? Może by ubogą w motywa, lecz mieć czyste, choć proste dźwięki.

Obrócił się i spojrzął w podwórze, gdzie Jagusia walczyła teraz z upartym cielakiem, który od matki odpędzić się nie dawał.

Andrzej zastał Chostynę w tej samej pozycji, w jakiej go zostawił.

— Kto to taki ta Jagusia? — zapytał go Aleksy.

— Banasiewiczówna—odpowiedział Malecki.

— A gdzie ona mieszka?

— Ot...

Wskazał ręką.

— Dobra dziewczyna?

— Zdaje się, że lepsza od innych.

— Tak ty—powiadasz?

— A prawda, że ładna?—spytał Andrzej z uśmiechem.

— Ładna—to dobrze, ale, że dobra to więcej znaczy.

— Podobała się panu, panie Aleksy.

— Ja tobie prawdę powiem Anderku, że mnie coś od niej powiolo, tak, jak to czasem, na wiosnę bywa, kiedy pierwszy raz wiaterek ciepły dmuchnie a słonko błysnie jaśniej.

— No?—rzekł Andrzej...

— Poczekaj — tak od razu nie można.

Wrócili na ganek, Chostyna był zamyślony, zamyslenie także usiadło na czole Andrzeja...

Gwar wsi powoli ucichał, wszystko się zabierało do wieczornego spoczynku, kiedy nie kiedy tylko zaskrzypiały gdzieś wrota, pies warknął, albo po kamienistej drodze daleko wóz zadudnił.

Na śpichrzu u Maleckiego było gniazdo bocianie, pan Krzysztof nie pamiętał kiedy uwite zostało. Co rok odlatywały i przylatywały ptaki, przez dzień i noc klekotały, a zawsze dobre wróżąc. Nie brakło i gniazd jaskółczych, które wszystkie futryny okien zalepiły u góry, a tak dobrze znały starego pana Krzysztofa, że nieraz tuż koło niego przelatywały i świergoć, krążyły nad jego siwą głową.—Z racji tych gniazd jaskółczych, nie było kotów, ale za to w ogrodzie Maleckiego, mnóstwo słowików ukrywało się w cieniu bzów i jaśminów. Przez maj cały brzmiał pana Krzysztofa ogródek od wołań, gwizdów i klaskań słowiczych, bo ze wsi i szlacheckiego zaścianka zlatywały się ci bardowie wiosenni do spokojnego ustronia, gdzie im nikt krzywdy żadnej nie czynił. Książdz Ambroży „arfa“ nazywał ten ogród pana Krzysztofa, i nieraz przychodził „na słowiki“ jak zwykł był mówić.

Ale teraz ogródek w milezeniu tonął, bo w gniazdkach już się piskłęta wylęgły i trzeba było dbać o pożywienie dla nich. Przestał więc śpiewać poeta.

Słońce już dawno zaszło, czerwony tylko pas zostawiło na stronie zachodniej nieba. Coraz ciszej i ciemniej było w wadołach jaru, tu i tam, jak oczy wilcze zabłysły światelka w chatach kmiecych i dworkach szlacheckich. Jedna Rosienka tylko, jak gdyby korzystając z tego mileżenia przyrody całej, zaczęła gwarniej płynąć i szumieć głośniej. Można było odróżnić każdy plusk fali, każde uderzenie o brzeg skalisty, pocałunek jej każdy dany zwieszającym się powojom i wierzb gałązkom. Lekkie, ciepłe opary zaczęły się unosić, mgła przezroczysta, jak strój niewieści balowy, okryła jar cały. Pons zachodu w fiolet się zamienił, przeszedł w barwę szarą i zlał się z ogólnym tonem nieba, na którym zapalały się gwiazdy po gwiazdach.

— U Baczyńskiego już tańczą kawalery — odezwał się, wstając, Chostyniecki...

— Jedziesz? zapytał Krzysztof...

— Czas już...

— Myślałem, że wieczere zjesz z nami...

— A coby ja tam robił?—Tańcować, nie tańczenie, w karty nie umiem, zjeść tylko potrafię... No, dowidzenia Malecki, a ty mnie Anderku za przyjaciela uważaj, a panem nie nazywaj.

Pożegnali go serdecznie...

— Słuchaj no, Anderku—szepnął—ja to do was niedługo przyjadę...

— Tęsknić będziemy za tobą...

— Jak ja za wami—wierzajcie!

Siadł na bryczkę...

— Sirko — do Jagny!... Tfu! zawołał — do Baczyńskich na ball!...

Odjechał pożegnany głośnym śmiechem Maleckich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z AMERYKI.

Waszyngton.

Z dumą pewną biorę pióro do ręki, aby wam donieść, że i u nas za Oceanem odbywają się uroczystości naukowe, w których bierze też udział i stara Europa. Dwa lata temu instytucja odpowiadająca akademii europejskiej, Smithsonian Institut, rozpisała konkurs na dwie prace z zakresu fizyki atmosfery, w którym wzięli udział uczeni nie tylko naszej części świata. Terminem nadsyłania prac był ostatni dzień zeszłego roku, a zebrało ich się 218; sędziami obrano nie tylko amerykańców, było ich siedmiu, wszystko osobistości znane i poważane w świecie naukowym: Lanley, Brown, Goode Billing, Harington, Bessold, Janssen, Huxley. Narady odbywały się bardzo poważnie i uważnie, rozbiórano każdą pracę pojedynczo, a potem na zebraniach ogólnych i pragnąc, aby to, co uznanie pozyska, zaliczyć się dało do rzeczy wyższego znaczenia w nauce, sądzono, surowo i choć były do przyznania trzy nagrody, przyznano tylko dwie, lecz nagrody to o jakich w starym waszym świecie niełatwo usłyszeć; pierwsza, którą przyznano dwóm mężom nauki, lordowi Raleigh i w szerokich kołach uczonych naturalistów znanemu Albertowi Ramsey za odkrycie w powietrzu trzeciego gazu: argonu, wynosiła 50,000 franków. Nagrodę drugą, o wiele skromniejszą, 5,000 fr., wziął młody naturalista francuzki, Henryk de Varigny za pracę o oddziaływaniu atmosfery na życie ogólne planety naszej.

Już to Ameryka hojną jest, co się zowie i właśnie w tym samym czasie zbierano tu składki na dar dla Papieża, który w obecnej chwili jest mu już niewątpliwie wręczony. Bogaty bankier z Chicago, Fryderyk Troop, chcąc okazać cześć jaką katolicy tutaj się żywią dla Ojca Świętego, urządził składki z celem, aby katolicy amerykańscy ofiarowali Leonowi XIII lekturę arebrną, z kruszcem tutaj wydobytego i tutaj bardzo artystycznie wykonaną. Jest to protest przeciwko uroczystości obchodzenia w Rzymie dwudziesto pięcioletniej rocznicy zajęcia Rzymu przez wojska włoskie, a nie brakuje tutaj pomysłów wszelkiego rodzaju, do czego dopomaga niewątpliwie możliwość, jakiej nie posiada stara Europa. Jeden z tutejszych wydawców, właściciel czasopisma *Cosmopolitan*, bardzo rozpowszechnionego, więc bogacz, co się zowie, bo tu na tych rzeczach ludzie robią fortuny nielada, John Walker, zakupił niedaleko od Nowego Yorku w miejscowości Irvington, znaczny obszar gruntu w malowniczej okolicy nad brzegiem rzeki Hudson i zbudował tam pałac iście książęcy, w którym urządził sobie pyszną rezydencją. Ludzie przyjeżdżali tu, aby ją oglądać, gmach pyszny, co się zowie, a śnać poglaskało to jego miłość własną i postanowił pokazać co potrafi, skoro fantazja jego w ruch się puści.

Redakcja *Cosmopolitan* mieściła się w jednej z najpiękniejszych części miasta i była to kamienica weale okazała, lecz posiadacz jej zachciał czegoś niezwykłego, czegoś co by się wyróżniało z pośród budynków miasta i zakupił w okolicach Nowego Yorku nad brzegiem rzeki Hudson w wielce malowniczej miejscowości obszar gruntu znaczny, gdzie zbudował pałac wspaniały z pyszną fasadą, długą na osiemdziesiąt kilka metrów, zdobną kolumnami i portykami w greckim stylu, a w pobliżu buduje szereg domów, gdzie osadzi nie tylko zececów, drukarzy, ale wznosi i wytwornie piękne kamienice, gdzie pragnie pomieścić cały skład redakcji, oraz literatów, którzy są współpracownikami jego pisma. Dzielnica ta jest już przedmiotem godnym widzenia, zwiedza ją też każdy przybysz cie-

kawy, a z biegiem czasu, gdy pokost nowości zanieknie i mury otoczy powaga, którą wiek daje, będzie to miejsce, na którym wzrok zatrzyma się z zajęciem.

A jest tu niejedno miejsce takie, nie zbudowane sztucznie. Podróżnik spotyka nieraz w głębi okolic jeszcze niezaludnionych ślady posad starożytnych, zamieszkiwanych przez pokolenia nieznane, o których historycy tylko hipotezy tworzyć mogą. O ile pamiętam już wam raz pisałem o tem, obecnie odnaleziono w Gwatemali, u podnóża wulkanu Agina, starożytne miasto zagrzebane pod gruzami i pokryte lawą na podobieństwo Pompei i Herkulanum. Odkrył je uczony starożytnik, Alvarado; stara zbroja indyjskiego rycerza z przed wieków, znaleziona u stoku góry w skutek jakiegoś wstrząśnienia ziemi, jakiegoś kamienia ruszonego z miejsca, tam się dostała, naprowadzając na trop, że spoczywa tu przeszłość nieznaną. Rozpoczęto też zaraz poszukiwania i znaleziono mnóstwo przedmiotów: starożytne zbroje i narzędzia do domowego użytku, aż zapuszczając się głębiej odkryto kilka ulic z rzędami skamieniałych domów.

Szkielety znajdowały się w rozmaitych postawach, leżące, stojące w oparciu skały, co jest oznaką niemyślną, że straszna katastrofa zaskoczyła nieszczęśliwych niespodziewanie. Odnaleziono przytem znaczną bardzo ilość szkieletów, a sądząc z postawy, w której skamieniały, przypuścić trzeba, że śmierć okrutna napadła ich nagle, a odkryto zarazem mnóstwo broni, klejnotów, urn starożytnych, a obok tego obrazów, portretów, ukazujących nietylko typy indyjskie, ale i europejskie, a co więcej jeszcze z dzwini i mongolskie.

Cały świat uczony zajął się badaniem tych tajemnic przeszłości i rozpoczęto poszukiwania, które by dały uchylić zasłonę wieków. Ta okoliczność rozbudziła tu w ludziach chęć badania przeszłości. Z Valparaiso wyruszyła niedawno wyprawa do wyspy Juan Fernandez, a raczej do wyspy Robinsona, inaczej Aleksandra Selkir, który w zeszłym wieku przeżył tu lat kilkadziesiąt w samotności. Są tu jeszcze ślady jego pobytu, podanie przekazuje je pokoleniu za pokoleniem, ale rzeczywistość bierze tu wszędzie przewagę nad tem, co pozostało w tyle. Rząd chilijski wysłał tam niedawno komisję dla zbadania, czy wyspa mogła być z pożytkiem skolonizowana, ale to co jest obecnie, nie przemawia za tym zamiarem. Ludność wyspy zmniejsza się coraz; przed czterema laty przedstawiała ona 159 głów, obecnie jest tu dwudziestu dziewięciu mieszkańców, a przyczyną tego jest brak środków pracy. Dawniej połów wielorybów był tu znaczny, przybijały więc dla tego statki różne, ale gdy przemysł ten upadł, ludność zubożała i wynosiła się powoli, gdzie kto mógł. Lecz obecnie powstało tu przedsięwzięcie nowe; pewne stowarzyszenie handlowe założyło na wyspie uprawę owoców, których obecnie bywa tu zwykle mnóstwo i wyspa cała jest jakoby jednym ogrodem, więc przypuszczać trzeba, że przy rosnącej ciągle liczbie przybyszów z Europy, wzmoże się i tu przemysł ten, który w ogóle bardzo jest rozwinięty w Stanach Zjednoczonych. Banany, które dawniej należały do rzeczy zbyt kosztownych, zapewniają obecnie wszystkie targi i spożywają ich tu co rok dziewięćset milionów, uczyć nam się też trzeba, jak tu ludzie wynajdują sobie skrzętnie zarobki z jednej strony, środki używania z drugiej.

Banany pochodzą z Azji, ale umiano je tu zaaklimatyzować i osiąga się obecnie za ten owoc zyski niemałe. Wartość bananów spożywanych w Stanach Zjednoczonych przedstawia rocznie trzydzięści sześć milionów franków. Tam gdzie ludzie umieją pracować środki zarobków tworzyć, rozwój życia, więc i rozwój pomyślności ogólnej, szczęścia, wzrasta; wykazy statystyczne przedstawiają tu niesłychane u nas cyfry małżeństw, jest tu przecież mimo to wiele więcej żonatyh mężczyzn, niżeli zamężnych kobiet, ale to skutek tego, że mężczyźni przybywają tu z Europy szukając pracy i chcą sobie pierwiej usłać gniazdko rodzinne, zanim żony i dzieci sprowadzą.

Niema przecież w całej Europie takiej proporey owdowiałych kobiet, bo jest ich trzy razy tyle niżeli wdowców, co powtarza się i do rozwodników w stosunku do rozwódek, przecież biorąc to wszystko razem widzimy, że żaden kraj cywilizowany nie

przedstawia tak małego procentu nieżonatych mężczyzn i samotnych kobiet. Jest przecież w Stanach Zjednoczonych półtora miliona mężczyzn więcej niżeli kobiet, lecz skutek to jest napływu samotnych mężczyzn z Europy. Że większy, lub mniejszy rozwój pracy, rozwój dostatku wpływa na zmniejszającą się lub zwiększającą liczbę małżeństw dowodzi tego fakt, że w miastach jest więcej samotnych mężczyzn i niemłodych panien niżeli po wsiach i małych miasteczkach, gdzie kobieta pracownice podejmuje ciężary życia i dzieli je z mężczyzną. Już to zbytek w strojach kobiet amerykańskich dochodzi w miastach szczególnie do zenitu. Patti, śpiewająca raz ostatni w Chicago „Trawiatę“ miała na sobie suknię z różowej mory, na której było przymocowanych 3,700 brylantów i to bynajmniej nie drobnych, gdyż żaden nie ważył mniej niż sześć karatów. Lśniła cała ich blaskiem, czy przecież podnosił on to, co zachwycało w niej ludzi? Plagą Ameryki w stosunkach życia rodzinnego są też rozwody, które tu niezmiernie ułatwione zostały, sprostowano się przecież, że nie idzie to ludziom na pożytek i zaczyna się przeciwko tej wolności targania węzłów rodzinnych reakcja. Stan Południowej Karoliny uchwalił właśnie w tym czasie skrajne pod tym względem postanowienie, zupełny zakaz rozwodów, pozostawiając jedynie separację, jeżeli w życiu małżonków unieszczęśliwia ich rzeczywistość.

Ułatwione w obecnych czasach środki komunikacji oddziałują silnie na pojęcia i zwyczaje Ameryki przez zbliżenie się do starego świata Europy. W bieżącym roku 200,000 amerykańków i amerykańek znalazło się na naszej półkuli, a że znaczna ich liczba zwraca się do Anglii, układ wiedzionego tam życia wpływa wielce na kobiety amerykańskie, ucząc je, że przy swobodzie obyczajów można i należy kobiecie posiadać tę szlachetnie podniosłą wstydlivość, która nie styka się nigdy z tem, co by musiało wywołać na lica jej rumieniec. Bardzo wiele gubernantek angielskich wzywanych jest do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, co przy dzisiejszych środkach komunikacji dzieć się może łatwo, a oddziałują szczęśliwie na młode amerykańki, wszczepiając w nie pojęcia tej szlachetnej kobiecości, jaką się odznacza Angielka. Ameryka nauczyła się też od tej siostry swojej, że praca kobiety nie może się ograniczać przy nowożytnym układzie stosunków do zajęć gospodarstwa domowego jedynie i tysiące amerykańek zarabia na życie w różnych zawodach pracy, a postęp jest to wielki i dobrze skierowany.

W 1870 r., na całym obszarze Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej była jedna buchalterka, wdowa, którą konieczność zmusiła do tej pracy, obecnie znajduje się ich tam 28,000. Liczba sekretarek, kopistek, rysowniczek technicznych, doszła obecnie z 8,000 do 64,000. Pisarek było 160 obecnie jest ich 3,000, publicystek 35 teraz 900, malarek i rzeźbiarek 400 teraz 4,600, muzyczek 3,800 teraz 35,000. Ten prąd pracy pociągą za sobą ludzi i daje im równouprawnienie z temi, którzy wynosili się po nad nich i oto murzyn, tak pogardzany tu niegdyś stanął obecnie na poziomie równym z temi, którzy nie uznawali go niemal za człowieka. W Stanach północnych jest obecnie 840 czarnoskórych adwokatów 792 lekarzy, 1,420 właścicieli wielkich sklepów, lub domów, 995 kapłanów, a złamanie przesądu, nie ujmując nie nikomu, uszczęśliwiło, ubogaciło wielu i to jest tryumfem młodego społeczeństwa Ameryki, że stanęła na tym gruncie dobrym, który pozwala, aby nikt nie był spychanym w dół, a wtedy tylko ludzkość cała stanąć może w zdwojonej sile ramie przy ramieniu.

otacza wciąż bałwochwalczą nieledwie. Niemniej, sama myśl wycieczki w kraje dalsze, w głąb Europy, w środowisko cywilizacji i kultury, przejmując nas gorączką wrażeń i, raz opanowawszy, spokoju już nie zostawia. Ta gorączka, to hołd, oddawany cudom przyrody, które, wszechpotęgą swego uroku, nie przestaną nigdy nęcić nas i przykuwać; to pokłon, niesiony dziełom geniuszu ludzkiego. Dwa więc uczucia, sprzeczne napozór, uzupełniają się nawzajem. Upoiwszy bowiem oczy wrażeniami piękną, nasyciwszy umysł najnowszymi zdobyczami w zakresie cywilizacji, wracamy we własne progi, z pewnym plonem dodatnim i świeżymi do pracy siłami.

Aby plon ten uczynić obfitszym i różnorodniejszym, sprobowałem wycieczki mej ostatniej, poddójny nadać kierunek. Jeden zbliżał mię do głowniejszych *Weltbad'ów* Europy a więc pozwalał przyjrzeć się, w najgłówniejszych stacjach klimatycznych i kuracyjnych, wszechświatowemu zbiorowisku ludzi. Drugi, oddalając mię od polyglotycznego tłumu, dawał wytchnienie w galeriach i muzeach stolic zachodnich. Tu, kąpiel w słońcu lub falach morskich, wrzawa międzynarodowych zbliżeni i pole do psychologicznych obserwacji; tam, chłód potężnych murów, cisza i skupienie, należne pamiątkom przeszłości, lub podziw, wywołany przez genialną myśl ludzką, niespożyta, jak iskra Boża, a w dzieło sztuki zakłęta.

Przesunęły się więc przed mój wzrok: Piaszczyste równiny Brandeburgii, Berlin, rywalizujący już dzisiaj z najpierwszymi stolicami świata, malownicze góry Hartz'u, Frankfurt nad Menem, słynny z potęgi swej finansowej i Nauheim, u stóp Taunus'u ukryty. A dalej: Ems, Homburg, Wiesbaden, Ren, z zaczarowanym szlakiem starożytnych siedzib rycerskich, Kolonia, z koronkowymi wieżami katedry i przepysznym Gereonem, żyzna Belgia, z przepiękną, bogatą w zbiory stolicą, a wreszcie Ostenda, z nieprzejrzanym obszarem morskim, który obmywszy brzegi naprzeciw leżącej Anglii, łączy się z oceanem i bieży hen, hen, ku krańcom Nowego-Swiata.

Na obszarze tym, jakie bogactwo wrażeń i ile chwil, w niemym podziwie spędzonych. Sama „Międzynarodowa Wystawa sztuki,“ czekająca na mnie, w powrotnej drodze, nad Szpreą, warta byłaby trudu podobnej podróży. Warte jej również słynniejsze miejscowości lecznicze, wśród których ludzkość cierpiąca szuka ulgi i wytchnienia.

Na czele ich należałoby postawić Nauheim. Wsławiony u nas, w ostatnich dopiero latach, wywodzi on jednak, moc uzdrawiającą swych źródeł, od czasu rzymskich cesarów jeszcze. Jedyne w Europie wody te leczące choroby serca, leżą w pasie słynnych zdrojowisk, jak: Homburg, Ems, Wiesbaden, Soden, Selters i inne, przyczem: gorący ich szprudel, bijąc fontanną naturalną na 15 metrów w górę, jak potok pianistego szampa, do najsilniejszych w szeregu tym należy.

U stóp łagodnych stoków Taunus'u, cały zielenią spowity, rozsiadł się ów Nauheim jak zaczarowana oaza, jak ziemia obiecana tych, którym choroby serca śmiercią lada chwila grożą. Wody jego, bardzo alkaliczne, od części mineralnych aż brązowo-żółte, od soli i żelaza gęstawe a dzięki kwasowi węglowemu jak wino szampańskie musujące, cudów podobno dokonywają. Roi się tu więc od chorych, ze wszystkich stron świata przybyłych. Dawniej wrzało Nauheim życiem, przez ruletę nieconem; dziś, piękny a wielki park, rozległy kurhaus, koncerty i spacerki, są wyłączną rozrywką tej jedynej w swym rodzaju stacji klimatycznej, w której o zabawie, o strojach, mowy nawet nie ma.

Poszedłem, przez ciekawość, zobaczyć wieczór tańczący w Kursalu, Oryginalny to widok. Na komendę, stojącego na środku, dyrektora tańca, który ma minę oberkelnera i zdaje się czuć brak korkociąga lub serwety w ręku, staje do apelu par... kilkanaście zaledwo. Te hoże dziewczęta, o pełnych kształtach i sukniach wątpliwej elegancji, to córki lub siostry właścicieli wil, które urządzają sobie *Kränzchen*, z czysto miejscową młodzieżą lub nawet bez jej współudziału. Damom tym, z rana jeszcze roznoszącym po numerach kawę lub obierającym kartofle, przyglądają się ze smętnym śmiechem szeregi wytworniejszej publiczności. Tańczyć im nie wolno; to chorzy sercowi.

Z wrażeń turysty.

I.

Natura ludzka dziwną bywa nieraz dla psychologa zagadką. Każdy z nas kocha swój zagon, kocha własne cztery ściany, ognisko zaś rodzinne,

Wolno im w zamian korzystać z licznych wycieczek; 40 zaś pociągów wychodzących dziennie ze stacji Nauheim, rozrywkę tą możliwie ułatwia. Szeręgi dostępne szlaki, ciekawych a malowniczych miejscowości i mnie także pociągną.

Do dalszych już, po Hochwaldzie, Friedbergu, Johannisburg'u i Homburg'u, należy Frankfurt nad Menem, głośny z potęgi swej, rynek pieniężny Europy.

Spokojny i równy bieg Menu łączy się z koleją żelazną, by dwoma temi, niesłychanie ruchliwymi arteriami, słać ludzi ku miastu bogaczy i pałaców. Długie plantacje róż sztamowych i łagodnie stoki wzgórzy, winnicami pokryte, widzą nas ku olbrzymiemu centralnemu dworcowi, w którym zbiega się dziesięć linii kolei żelaznych. Trzy oszklone rotundy, o wymiarach potwornych nieledwie, wypełnione ognistymi smokami, wypadającymi z nich, co minut parę, zamieniają dworzec ten potężny, w jakąś otchłań, która starożytnemu Grekowi dałaby przedsmak Hadesu. Dla mnie, Hadesów, na wskroś cywilizacyjnym kipiał życiem. Pociąg za pociągiem wbiegał z szumem i świstem, z rykiem częstokroć, w głąb potrójnej szklanej nawy i wyrzucał tłumy tysiączne, w malownicze stroje przybrane. Frankfurt obchodził sportową uroczystość jakiegoś miejscowego *Turmverein'u*, na którą śpieszyły stowarzyszenia miast innych. Barwne więc kostiumy, szarfy i chorągwie, tworzyły całość malowniczą, którą podnosił jeszcze narodowy strój kobiet heskieh. Nie jest on piękny, ale utrzymał się w całej pełni staro-niemieckiego stylu. Czarna, wysoka pończocha i także, mocno wycięte pantofle, z dużemi, metalowemi klamrami. Na to, krótka, do kolan, z czarnego sukna spódniczka. Górna część jej odstepnowana jest w drobne, wzdłuż idące zakładki, tak, że suknia na biodrach ściśle uwydatnia kształty, poniżej zaś opada w sutych fałdach, znanych w krawiectwie pod nazwą *alt-deutsch*. Do tego stanik czarny, obcisły, o bufiastych krótkich rękawach. Noga i ręka, odsłonięte, nieczem nieskrępowane, zapewniają pełną swobodę ruchów. Na głowie olbrzymia kokarda, z szerokiej czarnej wstążki, z dwoma końcami opadającymi tak długo, jak sięga spódniczka. Młode Hessenki zsuwają kokardę tę na tył głowy, odsłaniając włosy i czoło; stare umieszczają ją na białym, suto garniowanym czepku. Kobieta zręczna, wysmukła, prześlizgnąć musi być w kostyumie takim, chociaż posiada on dziwną, żąłobną w sobie powagę. Chłopki niemieckie, krępe po większej części i dość niskie, nadają mu cechę ociężałą. W codziennem, do roboty przeznaczonem ubraniu, nie jest on zapewne tak ściśle ciemny.

Tłum barwny, przepłatany owemi czarnemi motylami, o dużych na głowie skrzydłach, wysypał się z okrzykami na *Kaiserstrasse* i tu, wśród większej przestrzeni, przywrócił nam nareszcie swobodę ruchów. Potężna katedra, gotycka świątynia „Trzech Króli,“ a wreszcie „Kościół Panów niemieckich,“ (*Deutschherrnkirche*), nęciły mnie z kolei. Starożytny ratusz, pamiętający jeszcze czasy rzymskie, wybitniejsze pomniki sztuki, dom wreszcie, w którym ujrzał światło dzienne, poeta świata, wielki Jan Wolfgang Goethe i zainaugurowana tam właśnie wystawa jego imienia, wabiły również silnie. Wszędzie pamiętki, wszędzie rzeczy godne widzenia. Na każdym kroku rzucają się w oczy wspomnienia zaszczytnej przeszłości miasta. Tu kościół Ś-go Pawła, wstawiony posiedzeniami parlamentu niemieckiego, w słynnej, przełomowej epoce 1848 i 49 roku; tam pałac ks. Thurn i Taxis, upamiętniony zgromadzeniami Związku Niemieckiego. I nie dziwnego; wszak Frankfurt od 1245 r., był już miastem wolnem i samoistnem. Przedtem, Ludwik Niemiecki jeszcze podniósł go do godności rezydencji monarszej, jaką był faktycznie od czasów Karola Wielkiego i uczynił z „Franconfurtu“ stolicę państwa wschodnio-frankońskiego. Od 1815 r., był on znów rezydencją Związku Niemieckiego. Czy wobec przeszłości takiej można się dziwić że od złotej bulli, cesarza Karola IV-go, pokazywanej w *Römerhaus'ie*, aż do domu *zum Kothen Schilde*, kolebki Rotszyldów całego świata, wszystko tu zajmuje, zaciekawia porywa...

Miasto zaś tymczasem pociąga również wirami swym i przyspieszonym tętnem unosi. Miliony, bogactwo, znać na każdym kroku i to te miliony, które, nasycając się już dźwiękiem złota, starają

się zapomnieć o niem w otoczeniu piękna i sztuki. Wszędzie pełno zbiorów, muzeów, zabytków. Gmach przy gmachu, cała *Kaiserstrasse*, cała część nowa miasta, to same pałace, przeważnie w stylu odrodzenia wznoszone. Postawiony wśród nich nasz osławiony pałac Kronenbergów, z Mazowieckiej ulicy, wyglądałby marnie, jak zwykły dom o kształtach ociężałych, do tamtego *renaissance'u* wcale niepodobnych.

Rozejrzawszy się jednak, w tej zbytowej dzielnicy, spostrzegamy rys jeden. Oto w znacznej liczbie owych wspaniałych pałaców, wszystkie okiennice szczelnie są zamknięte, a w poprzek nich widnieje napis: *zum verkaufen*. Czyżby nad temi rezydencjami milionerów przebiegło technicznie jakieś *krachu*, finansowego lub budowlanego?

Frankfurt współczesny, Frankfurt wrzący życiem, a jednak, wśród dźwięków złota nie zapominający o pięknie, posiada dwie chluby: *Palmengarten* i *Aryadne*, Dannecker'a, dla której osobne utworzono muzeum. Nie wspomnieć o nich w tak przelotnej nawet notatce, byłoby grzechem i niewdzięcznością, za doznane nad Menem wrażenia. Ogród palmowy, utrzymywany z nakładem, godnym wschodniego nababa, to oaza podzwrotnikowa, przenosząca nas, jakby cudem, w kraje niedościgłe dla wielu. Afryka, Australia, Indye, wszystko to złożyło najcenniejsze dary swej flory, na ów zbiór jedyny w swoim rodzaju. Samo ugrupowanie go przenosi nas żywcem w inne strefy, a koncerty, w takim dawane otoczeniu muszą ściągac tłumy, bo spędzenie tu godzin kilku, nawet bez muzyki, rozkoszą się staje.

Ariadna, podarowana Frankfurtovi, a raczej uprzystępniona dla wszystkich, bez żadnej opłaty, nie należy—według nas—do najlepszych utworów mistrza Dannecker'a. Umieszczona, według poetycznego mytu, na panterze, która ją miała wieść na czele bachantek, wspaniała kształtami i piękna w śmiałym przegięciu, jest ona dobrem upostaciowaniem pogańskiej nagości, pogańskiego kultu dla klasycznych kształtów ciała. Główka jej wzamian, ciężką jest i, jakby martwą, bezduszną.

Napróżno umieszczono ją, w osobno na ten cel zbudowanej, a z góry oświetlanej rotundzie; napróżno okna jej przysłoniono szkarłatem. Ciepłe jego tony, ożywiający marmur, nie nadają jednak *Aryadnie* najcenniejszych przymiotów, nie mogą tchnąć w nią: duszy i życia. Tę główkę, przechyloną w tył, pod ciężarem wieńca bachantki, pokrywa zawsze maska martwoty.

Podobna układem grupa G. Geefs'a, w brukselskim „Pałacu sztuk pięknych,“ przedstawiająca „Lwa zakochanego,“ stokroć większe czyni wrażenie. Prawda, iż tam sam pierwiastek kompozycji innym być musiał. Króla pustyni bowiem ożywia nieznaną mu dotąd potęgą miłości; dosiadając ją go zaś kobietę kusi odwieczny szatan niewieści: zalotność.

Anatol Krzyżanowski.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż w tych dniach wykończonym będzie projekt odnoszący się do komiwojażerów zagranicznych, działających w Rosyji. Według tego prawa komiwojażerowie powinni posiadać plenipotencją prawnie sporządzoną przez właściciela firmy, którzy stawali by się przez to odpowiedzialni za czyny agentów swoich. Potrzebnym jest tu jeszcze patent handlowy, dający pozwolenie do działania w Rosyji. Sprzedaż towarów, dokonywana pod pozorem udzielania próbek uważać się będzie za przekroczenie.

— Ministerium skarbu przystępuje do szczegółowego zbadania stanu przemysłu węglowego w państwie i porównania z tym, który przedstawiają kraje inne.

— Ministerium rolnictwa postanowiło urządzać stacje doświadczalne dla poszukiwań torfu i popierania jego eksploatacji.

— Grono osób dobrej woli stara się o pozwolenie utworzenia Towarzystwa uczącej się młodzieży na zasadzie ustawy normalnej. Można przypuszczać nieomylnie, że liczba członków była by liczną.

— W niektórych gminach podmiejskich, na Woli, Czystem, Brudnem i innych miejscowościach mieszka wielu robotników, potrzebną też są tam bardzo kasy oszczędności groszowe, które działały by podobnie jak kasy takie przy War. Tow. Dobroczynności pod kontrolą władzy bankowej. Inicytorowie tego pożytecznego zakładu twierdzą zapewne nie bez podstawy, że inteligentni i odpowiedzialni mieszkańcy podmiejscy zajęli by się bezinteresownie czynnościami kassowemi.

— Ofiary książek dla emigrantów brazylijskich nie ustają, w redakcyi „Kurjera Warszawskiego“ złożono już 2,400 tomów z pośród których wybrano do posyłki 1,907 tomów, które wraz ze sporządzonym ich katalogiem wysłane będą do portu Santos pod adresem kolonisty M. Muszyńskiego. Pozostałe książki, nie przedstawiające praktycznej wartości dla tych, którym je ofiarowano, wliczyła redakcyja do dzieł ofiarowanych ubogiej młodzieży szkolnej; reszta bardzo poniszczonych, lub zupełnie podartych, zatrzymała redakcyja czasowo do dyspozycyi ofiarodawców.

— Uczeń pamięć ludzi szlachetnych jest obowiązkiem każdego społeczeństwa i akt taki spełnionym właśnie został. W prawej nawie kościoła Ś-go Aleksandra wmurowano większych rozmiarów pomnik ścienny z marmuru kararyjskiego, mieszczący portret prawdziwie świętej pamięci ks. Szczygielskiego, założyciela Instytutu ociemniałych, z podpisem umieszczonym poniżej na płycie wśród ornamentacji: „S. p. książdz Józefat Szczygielski, kanonik metropolitalny, profesor Akademii duchownej, dyrektor Instytutu głuchoniemych, założyciel i rektor Instytutu ociemniałych w Warszawie. Urodzony w 1805 r., zmarł w d. 1-go grudnia 1883. W kościele po-Pijarskim przy ulicy Święto-jańskiej odsłonięta została uroczystość i poświęcona tablica z czarnego marmuru w obramowaniu kamiennem z napisem: „S. p. Antoniemu Bądzkiewiczowi, znanemu profesorowi języka i literatury polskiej w Wilnie, Piotrkowie i Warszawie. Urodzony w 1831 r., zmarł w d. 4 lipca 1893. Wdzięczni uczniowie.“

— Wystawę konkursową w Salonie Artystycznym na Nowym-Swiecie zwiedziło od czasu jej otwarcia 3,000 osób.

— Na wystawę zbiorową, którą urządza we Lwowie miejscowe Towarzystwo sztuk pięknych, nadesłane zostały obrazy pendzla Wacława Szymanowskiego, między którymi mieści się znany w Warszawie tryptyk „Modlitwa.“ Wystawiony w Krakowie w Sukiennicach „Szał“ Podkowińskiego zwiedza mnóstwo osób.

— Zbiór dzieł mieszczących się w krakowskiej Bibliotece Jagiellońskiej liczył w końcu grudnia 1883 r., 224,744 dzieł, zawartych w 300,029 tomach. Atlasów i map, 1,731, rycin 7,730, nut 3,222, rękopismów 5,321, tworzących 6,755 tomów, monet i medali 9,483 sztuk, dokumentów 261.

— Restauracyja katedry na Wawelu rozpoczęta została od ściany zewnętrznej skarbea, panującej nad stokiem wzgórza od północy. Mur skarbea zwrócony na północ, zbudowanym jest z drobnych łamanych kamieni, spojonych wybornie wapnem i tylko po wierzchu okrywa go warstwa białego ciosu wapiennego, który pod wpływem wieków stał się żółtym. Dach na skarbeu był miedziany i taki sam został danym obecnie. Przy wszystkich tych przeróbkach i restauracyach zachowała się najzupełniej charakterystyka i wygląd jak miał gmach ten starożytny.

— Lwowskie Towarzystwa ratunkowe udzieliło we wrześniu pomocy 231 razy, a to 161 razy w dzień, 70 razy w nocy. Liczba członków Towarzystwa przedstawia 12 czynnych, a 400 wspierających.

— Do gimnazjum w Cieszynie, którego otwarcie odbyło się w d. 10 bieżącego miesiąca, zapisało się 95 uczniów z 56 gmin szlązkich, a tylko czterech pochodzi z Galicyi.

WŁOSZKI.

W Wenecyi, w Akademii delle belle arti, gdzie nagromadzono tyle wspaniałych płócien Tyciana i Veronesa, znajdujemy niezliczoną moc obrazów odtwarzających postacie kobiet włoskich. Z tych możemy sobie wytworzyć wyobrażenie o wygasłym już prawie typie piękności żeńskiej ludności tamtejszej krainy.

Typ to o cerze brzoskwini, z oczami niezwykle dużymi, ciemnymi, ocienionymi silnie łukiem brwi gęstych i nadzwyczaj długimi rzęsami, o spojrzeniu namiętym, gorącym, — prawdziwa beauté de diable.

Napróżnobyśmy poszukiwali w Lombardyi, onego pra — starego typu uroczej Medyolanki, jaką i Goethe w swoich kartkach z podróży opiewał, jeszcze tylko w Wenecyi i to w niższych warstwach ludności spotkać można postacie kobiet, zbliżone do pierwowzorów, znajdujących się na obrazach mistrzów.

Jakkolwiek Włoszki z różnych okolic kraju nie są podobne do siebie kolorem włosów, ani ogólnym typem twarzy, każda jednak, Medyolanka czy Rzymianka, Wenecyanka czy Neapolitanka, przykują do siebie naszą uwagę odrębnym wdziękiem postaci i ruchu. I czy to będzie świeżo, z głębi Campagnii, przybyła dziewczyna, czy w własnej „carozzy“ codzienne corso odbywająca dama, — i jedna, i druga, zawsze też samą, nieporównaną gracyę posiadać będzie w każdym poruszeniu.

Paryżanka uchodzi za ostatni wyraz wytworności i tak zwanego szyku, Włoszka zaś, swobodą przedziwnie zręcznych ruchów i elastycznością chodu przekonywa nas, że wspomnienie złotej Romy pozostało jeszcze w jej żyłach.

Spojrzymy na te postacie kobiece, które na Monte Pincio zejść wieczorem ze swych powozów, aby przez chwilę użyć pieszej przechadzki.

Cóż to za delikatne, giętkie linie szyi i głowy, jakie miękkie, okrągłe ramiona, jaka proporcjonalna budowa całego torsu, ileż w tych postaciach poważnego, a zarazem jakby rozmarzonego spokoju, — rzecz można, iż łączą one w sobie sfołyż Madonny z wdziękami Venus!

Francuzka, obok wrodzonej elegancji, posiada zawsze sporą dozę kokieterji i pewnego „raffinement“, — gdy tymczasem Włoszka, jakkolwiek nie przestaje być także nieodrodną córą Ewy, przedewszystkiem jest nadzwyczaj naturalną.

Za koronę Włoskich kobiet naród cały uważa królową Małgorzatę. Gazety piszą zawsze o niej z uniesieniem i chętnie używają epitetu: la dolce ed incantevole (słodka niewypowiedzianie) i rzeczywiście, bez pochlebstwa, można o niej powiedzieć, iż jeszcze dziś, mimo przekroczenia czterdziestki, roztacza w koło siebie niezrównany, nieopisany wdzięk i urok.

Powab wrodzony nie jest u włoszek jedynie zaletą mieszkanki pałacu, spotkać się z nim nieraz można i pod dachem ubogiej chatki. Jest coś we krwi tamtejszych kobiet, coś, co Włoch określa wyrazem: una simpaticone.

Malarz Allers wydał piękne dzieło pod tytułem: Amalfi i Prajano, — w którym spotykamy zbiór najwspanialszych typów tej słonecznej krainy.

W Lombardyi najwybitniej zauważyć się daje wpływ mody paryskiej, z całą jej kokieterją, przesadą i wszystkimi niedorzecznościami jakimi Francya pokrewny kraj zalewa.

Nie można jednak powiedzieć, żeby tam, gdzie wpływ mody paryskiej nie tak silnie sięga, jak np.

w Rzymie, lub miejscowościach takich, jak Campagna, kobiety namiętnie stroić się nie lubiły. Upodobanie w błyskotkach jest i było zawsze charakterystyczną słabością Włoszek. W Neapolu pokazywano mi piękności należące do mniej niż średniego stanu, literalnie obwieszane przeróżnej wartości klejnotami.

Uroczyste święto jest chwilą, w której Włoszka nie może oprzeć się pragnieniu zdobycia świeżego stroju, lub nowej biżuterji i przypuścić należy, że jubilerom we Włoszech niepodobna jest chyba bankrutować.

W teatrach Włoszki nader skwapliwie korzystają z panującego tam zwyczaju i ukazują się przeważnie w strojnych balowych toaletach.

Mylnem jest bardzo upowszechnione mniemanie, że piękne córki Italii bywają ubogie duchem i sercem. Jesteśmy niesprawiedliwi często, gdy o nas chodzi. Wrażliwość nerwów bierzemy za uczucie, złośliwy dowcip — za oznakę wyższego umysłu. Włoszka złośliwą bywa nadzwyczaj rzadko, w ogóle zaś jest dobrą i zarazem o wiele praktyczniejszą niż my to sobie wyobrażamy.

Po dłuższym pobycie we Włoszech, jesteśmy prosto zdziwieni tem, jak tamtejsze kobiety umieją doskonale godzić żywość temperamentu z licznymi praktykami religijnymi, — lenistwo, do którego już sam klimat usposabia — z obowiązkami gospodyni domu, żony i matki.

Prawda, że nigdzie może praktyki religijne nie są tak dalece powierzchowną jedynie formą, jak we Włoszech, — wystarczają do tego różne, nie mające wspólnego z nabożeństwem zwyczaje, zaprowadzone w tamtejszych kościołach, — kościół jednak i nabożeństwo tak są ściśle związane z codziennymi zajęciami włoskiej kobiety, że uważa ona za wprost niemożliwe uchylenie się od najdrobniejszych przepisów w tym względzie.

Włoszka, ogromnie wrażliwa na urodę silniejszej połowy rodu ludzkiego, w ogólności jednak nie jest wcale tak namiętą i niepowściągliwą, jak ją w operetce lub nawet w poważnych komediach przedstawiają. Zdarza się wprawdzie czasem, że gorąca krew południa zakipi silniej, ale bywa to po większej części w chwilach gorzkiego zawodu, albo li w uniesieniu najwyższego szczęścia.

Na Capri przechował się zwyczaj, że mężczyzna, który dziewczynie miłość zaprzysięgał nie zostaje dotąd wypuszczony z wyspy, dopóki nie połączy się ze swą wybraną przed ołtarzem.

Najbardziej żywego temperamentu i najpochońniejsze do uniesień są Neapolitanki, szczególnie zaś w znanej i opiewanej miejscowości Santa-Lucia. Nóż bywa tam często narzędziem zemsty lub kary. Czasem i wyżej położone kobiety chwytają za bron, żeby wymierzyć sobie sprawiedliwość i uciekają się wówczas z całą naiwnością pod opiekę prawa.

Nigdy wszakże Włoszka nie unosi się tak daleko, jak wtedy, gdy staje w obronie praw swoich dzieci, — nigdy też nie jest zdolną do tak bohaterkich poświęceń, co dowodzi, że dzisiejsza Włoszka do żadnej Messaliny ani Poppei podobną nie jest.

Z. S.

Co mówią kwiaty

zebrała i ułożyła

Marya Piechocka.

Oliwne drzewo. — Pokój.

Oliwne drzewo jest symbolem pokoju od chwili, kiedy gołąb przyniósł Noemu oliwną gałązkę, jako

rękojmię pokoju między Bogiem a człowiekiem, między niebem a ziemią.

I to zauważyć należy, że oliwa ma własność uspakajając chwilowo wzburzone bańdany. To użyteczne drzewo zostało poświęcone Minerwie, bogini mądrości.

Pokój jest doskonałym porządkiem a sprzeczki, zamieszania, wojna, powstały na świecie przez wykroczenie przeciw porządkowi czyli przez grzech; a więc nie ma tam pokoju gdzie panuje grzech; nie ma pokoju w człowieku, którego myśli, uczucia, wola nie stosują się do porządku, prawdy, woli bożej; nie ma pokoju w społeczeństwie, którego zasady i prawa oddalają się od zasad i praw bożych; a jeżeli człowiek ten lub naród chociażby w jednym punkcie łamie prawa i zasady już kara idzie w ślad za zbrodnią buntu. Nieznana choroba go opanowuje, jakaś fatalna bezładna siła popycha w każdą stronę, nie dając nigdzie spoczynku; strach jak za Kainem w ślad za nim idzie.

Pokój jedynie na dzieci boże zlewa swe skutki, one tylko doznają go w całej pełni i jeszcze innym używać są w stanie; pokój wypływa z ich sere jak z rzeki, zraszając dobroczynną falą raj pierwszych naszych rodziców w czasie ich niewinności.

Z Towarzystwa Jedwabniczego.

Na wczorajszym posiedzeniu Zarządu przyjęto do wiadomości, że napływ w bieżącym roku do Biura Towarzystwa (Nowy - Świat 41) kokonów jest znacznie liczniejszy niż w latach uprzednich, dotąd bowiem dostarczono już z 23 hodowli przeszło 200 funtów.

Wobec coraz liczniej do Biura Towarzystwa zgłaszających się Zarządów gminnych z różnych stron kraju zapytaniem, gdzie nabyć mogą do rozsadzenia po gminach płonki morwowe trzyletnie jak im to poleciły wyższe władze administracyjne, postanowiono uprosić wszystkie Redakcje o rozgłoszenie, że płonki morwowe trzyletnie po rublu za setkę dla Zarządów gminnych, odstępować będą za zgłoszeniem się do odpowiednich panów leśniczych z zadaniem, leśnictwa:

Piotrkowskie p. Piotrków w wsi Meszcze.

Kolskie p. Izbicę w wsi Gaj.

Zakroczymskie p. Zakroczym w Szczypiorowie

Łukowskie p. Łuków w Jagodzem.

Przyjęto dalej do wiadomości, że na przedstawienie Prezesa Towarzystwa D-ra Banzemera Warszawski Zarząd dóbr Państwa postanowił z leśnictwa Kolskiego przesłać zakładowi leczniczemu w Ciechocinku 1,000 płonek morwowych trzyletnich dla założenia przy tamtejszym parku zakładowym szkółki drzew morwowych.

Przyjęto dalej do wiadomości, że za przykładem Warszawy poszedł już Kijów i przy tamtejszym Towarzystwie gospodarstwa wiejskiego założył specjalną sekcję jedwabniczo-pszczelniczą.

Wreszcie na opróżnione stanowisko Wice-Prezesa Zarządu przez śmierć ś. p. D-ra Stummera jednogłośnie Zarząd zaprosił Adwokata Emila Weidla przez co węzły współdziałania między Jedwabniczen i Pszczelniczo-Ogrodniczen Towarzystwem jeszcze bardziej zacieśnione zostały.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za późno**, przez autorkę powieści „Silny duch.“ Przekład z niemieckiego, ark. 7 i 8.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Kazimierz Gliński. Kłeska Powieść (dalszy ciąg). — Z Ameryki. — Z wrażeń turysty. I. przez Anatola Krzyżanowskiego. — Z bieżącej chwili. — Włoszki, przez Z. S. — Co mówią kwiaty, zebrała i ułożyła Marya Piechocka. — Z Towarzystwa Jedwabniczego.

Dodatek obejmuje: Za późno, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“ przekład z niemieckiego ark. 7 i 8. — Przegląd mód. 28 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.